

Skromne wywiady

Wojznis, uczestnik przemilczany zupełnie zagranicą polskiej wyprawy rozrywkowej, za podatkowe pieniądze, w Andy, mówi:

— Uznano nas za najlepszych alpinistów świata! Zmieniłyśmy mapę Argentyny! Za dziesięć dni glob ziemski! Trzeba czymprędzej urządzić 3-cią wyprawę w Andy (znowu za podatkowe pieniądze), to najważniejsza rzecz dla Polski!!!

Antoine Cierplikowski, najstarszy fryzjer Paryża, podróżuje przynajmniej za swoje pieniądze — nie wybrane po urzędach. Mówi:

— Zmieniałem fryzjerstwo na sztukę rzeźbiarską! Fidasz i Rodin to szczeniaki wobec mnie!!

Niżyńska, arcybaletmistrzyni, zaangażowana za drogie pieniądze do stworzenia reprezentacyjnego baletu polskiego oświadczyła:

— Wystarczy mi spojrzeć na siedzącą tancerkę by wiedzieć czy ma zdolności czy nie! Kiedyś nie przyjęłam dobrej tancerki bo z oczu patrzyło jej nietanecznie. Stworzę coś wielkiego!! Wiekopm nego!!! Kolosalnośniewające go!!

Smosarska szczebiocze:

— Polacy tylko przez snobizm wolą amerykańskie filmy od krajowych. Polskie filmy — ze mną oczywiście — są lepsze od najlepszych hollywoodzkich z Gretą Garbo czy Shirley Temple

Nowa odznaka

S.G.G.W.

Ministerstwo Spraw Wewn. udzieliło pozwolenia szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego na ustanowienie i używanie odznaki w kształcie polskiego orła akademickiego, wykonanego z oksydowanego srebra, na emaliowanym czerwonym tle w srebrnym otoku wieńca z kłosów i gałęzi drzew, spiętego monogramem S. G. G. W. Orzeł akademicki trzyma w szponach skrzyżowane: gałązkę oliwną i palmę akademicką, a w czerwonym tle emaliowanym umieszczone są z błyszczącego srebra trzy sześcioramiennie gwiazdy, odpowiadające trzem wydziałom, składającym się na całość uczelni.

Włoska impreza wydawnicza

Pod kierownictwem sen. Giovanni Gentile, b. min. oświaty ukazał się monumentalny wydawnictwo p. t. „Współczesna cywilizacja”. Składać się ono będzie z 30 tomów, podzielonych na 3 wielkie serie w których przedstawione będą dzieje polityczne wielkich krajów europejskich, dzieje ich sztuki i piśmiennictwa, wreszcie ich obrazowanie będą ważniejsze prądy umysłowe Europy. Wydawnictwo to będzie co do wielkości i powagi naukowej jedną z największych imprez wydawniczych współczesnych Włoch.

W TARCZYNE

zaprenumerować „ABC” można u p. Wendy (kiosk na przystanku P. K. P.).

Noc w Paryżu

Paryż w lipcu 1937

Sekwana staje się ciemna i polyskliwa w mroku. Plac Zgody zanurza się w opadającym wieczorze, roztopia w nim swój bezmiar i tylko rzędy latarni znaczą jego granice.

Na Polach Elizejskich rozbliskują sznury świateł. Wśród drzew palą się księżycowym blaskiem lampy za niebieskawym szkłem. Jak rozsypane świetliki migocą na jezdni ślepa samochodów jasne, zielone i żółte. Auta pędzą, jak zbita masa spływająca gęstym strumieniem od Łuku Triumfalnego.

Na bulwarach tłok. Rozłożone po trotuarach jedna przy drugiej kawiarnie St. Germain i St. Michel wypełniają się gwarnym rojem. Znika ze stolików zamrożona, chłodząca w ciepły wieczór „café liegeois” gromadzą się na ziemi skorupki po małych fistaszkach.

Nad ulicami płoną neony. W jaskrawych olbrzymich napisach szare za dnia kamienice teraz wykrzykują przechodniom nocne tajemnice swych wnętrz.

„Apasz” z Lublina

Program wycieczki, organizowanej przez Francopol na Wystawę Paryską obejmuje nęcącą niespodziankami „Noc w Paryżu”.

Ładujemy się więc koło 11-ej g. do autokaru, w którym siedzą już dwie amerykańskie pary i kilku Niemców. Z morza świateł autokar wpada w labirynt ciasnyciemnych uliczek.

— Jedziemy w krainę apaszów — zapowiada guide.

Dwie młode amerykanki, siedzące przy swych mężach ze znużeniem na malowanych buziach, obie jednocześnie z zainteresowaniem przechylają się w stronę guide'a.

— Apasze? Możliwe będzie krew? — Ach, proszę się nie obawiać apasze paryscy dla gości są bardzo uprzejmi.

Grymas znużenia wraca na twarze młodych amerykanek.

W czarnej uliczce pali się jasno „bal - musette”. Przez otwarte wąskie drzwi bucha gwar, gorąco i smętne tango. Za drzwiami kilka stolików, obsiadłych przez wymalowane damy, spijające czerwone wino purpurowymi ustami. W głębi dancing „od ściany do ściany”. Stłoczone gęsto pary. Dziewczyny w opiętych sukniach z ciężkimi od farby rękawami, mężczyźni w czapkach, wciśniętych na oczy, obejmujący mocno przytulone do nich tancerki. Czasami w tłoku jakaś niesamowita twarz mężczyzny umalowana, głupio uśmiechnięta. Od czasu do czasu pary tej samej płci.

Jedną z naszych towarzyszek czariniawy ognisty apasz wprowadza na zatłoczony „parkiet”.

— Vous êtes anglaise? — słyszę, jak pyta ją w tańcu.

— Non, je suis polonaise.

Apasz rozpromienia się od ucha do ucha.

— Ja też, z Lublina — odpowiada „rasowa” polszczyzna, i nie może pojąć, czemu nagle zostaje sam w tłumie par.

— Coś podobnego! — mówi do nas w podnieceniu pani spragniona tanga z apaszem — Coś podobnego! Jakiś żydak — Lu-bli-na zamiast porządnego apasza. Na to trzeba mieć tylko mojego pecha!

— Nas tu jest więcej — żydek usiłuje nawiązać dalszą rozmowę z jednym z towarzyszących nam panów.

A z czegoż wy tu żyjecie? Zna-leżliście pracę?

— Prace? — żyd uśmiecha się cynicznie. — Od czego tu są kobiety?

Nie przyjemnie słuchać polskich słów swoją treścią szarmonizowanych z atmosferą tego mętnego zbiorowiska. Może właśnie fakt, że mówi je żyd jest znośniej szym, tylko gdyby nie płał w to wszystko polskiego języka...

Z „bal - musette” leci za nami namiętna, erotyzmem przesycona melodia. Nagle słychać krzyk, który cichnie, w miarę, jak oddalamy się. Nie wiemy nawet skąd pochodził czy z roztańczonego baru, czy z ciemnej ulicy.

„Świątynia” arabska

Biała „mozgule” w cichej mużmańskiejskiej dzielnicy wita nas jasnym blaskiem, wypływającym przez koronkowe okna i wschodnią pieśnią lłkającą w głębi domu.

Snujemy się przez wnętrza, wypełnione dźwiękami i aromatem wschodu.

Przez któreś otwarte drzwi bucha w nas żar i gęsta para, osłaniająca tajemniczą głębię. Wokoło pod ścianami rozkładają się miękkie tapczany, oczekujące na gości, pragnących wypocząć po rozkoszach kąpeli w białej mogule.

W patio szmerzą ciche fontanny. Woda czysta jak kryształ. Panuje orzeźwiający chłód. Pachną odurzająco różę rozpięte na ścianach. Pachnie mocno czarna kawa, którą roznoszą na tacach „kelnerzy” w czerwonych fezach.

A dalej odbywa się handel. Leżą wzorzyste makaty i w małych stoickach prawdziwe wonności wschodu.

— 5 franków za 1 gram — mówi Niemiec do Niemca. — Nie mamy pieniędzy na takie rzeczy. Nasze kobiety nauczyły się bez tego obywać. — A jeżeli kupować koniecznie to przynajmniej swoje wyroby.

Dwie Amerykanki zagarniają stopy kolorowych butelek. Dzieci, piętnaście. Z naszego towarzysztwa żadna z pań nie rewiduje nawet zapasów w portmonetce — ograniczenia dewizowe robią swoje.

Broadway w Moulin Rouge

Moulin Rouge stworzył się, odnowiony. Nie ma już starego mly na w wejścia. Wewnątrz tłok, zapach wina, dym papierosów, czerwone światło, zgęszczona atmosfera, szampan wspaniały i szampan jak lemoniada. Dużo cudzoziemców, mało Francuzów.

Na parkiecie tańczy Cotton Club. Broadway i Haarlem ra-

zem. Taneczne ewolucje czarnych ciał „muzyka obcasów” wylupowana na podłodze, wykrzykująca, zawadająca, rozkołysana w rytm dźwięków czarna orkiestra. Zgiełk, hałas i znowu jak w „bal - musette” przytulone pary, takie same spojrzenia i uśmiechy.

A w Tabarin Cyrk. Z pod podłogi i z sufitu wyjeżdżają i spadają tancerki na koniach z drzewa i na karuzeli. Nagłość tanerek budzi zgrozienie wśród polskich gości, pierwszy raz wizytujących „nocny Paryż”.

— Żeby przynajmniej były wszystkie godne oglądania — rzuca niebaczna uwagę jeden z młodych ludzi, wywołując jeszcze większe zburzenie zgrozzonego towarzystwa „z prowincji”.

Przez Tabarin i inne nocne lokale płyną jak zawsze tłumy cudzoziemców. Paryż prawdziwy, Paryż francuski śpi.

Wcześniej niż dawniej gasną światła w oknach. Więcej niż kiedykolwiek odczuwa się wpływ spraw bieżących na codzienne życie na stępienie beztroskiego humoru.

Knajpy przy halach

Prosto z kolorowego dancingu małą gromadką zanurzamy się w śpiący czarny Paryż, idziemy przez ciche, siabo oświetlone ulice.

Od Luwru niedaleko ciągną się między ulicami Hale Centralne. Teraz właśnie na schyłku nocy rozwierają się szeroko bramy gębokich hal, jak paszcze żarłocznego potwora. Zawisa na hakach olbrzymimi połaciami świeże różowe mięso, w dziesiątkach szeregów, czekając na chwilę sprzedaży.

Jadą samochody. Zapelniają wszystkie sąsiednie ulice. Jeden za drugim ciągną sznurami, dziesiątki, setki wypchanych ciężarowych wozów. Jadą z okolic Paryża, z Marsylii. Wiozą świeże owoce południa, z Afryki, z brzegów południowych Francji. Nieprzeliczone kosze brzoskwiń, moreli, czereśni.

Rosną wzdłuż ulic stopy jaryzyn. Wysokie sterty, z poza których nie widać ludzi, o równych ścianach białych, żółtych i czerwonych, jak piękne architektoniczne bryły, misternie ułożone z przedziwnego materiału — stopy marchwi, cebuli, rzodkiewek, buraków.

A dalej pachną kwiaty. Pr cudne masy kwiatów, nigdy nie widziane morze kwiecica. Pachną goździki, lawkonie i róże. Róże pyszne, złote, białe, purpurowe, wonne, świeże, leżące w stertach na ziemi...

Wzdłuż ulic otwierają się „bu-vetty”, bary „Pod kogutem”, „Pod lwem”, wypełniają się tłumem robotników w szarych bluzach, z rękawami zakasanyimi do łokci. Niedaleko hal mięsnych czekają na godzinę sprzedaży rzeźnicy. Piją cidre, kawę i w grubych rękach trzymają zatłuszczone karty. Grają i kłną. Przekupki opowiadają, ziewając w otwartych drzwiach knajp, plotki ostatniej nocy...

O tej porze tylko tu jeszcze otwierają się „nocne lokale”...

m. r.

Z teatru o teatrze

Zycie jest przyjemne

TEATR POLSKI „PAPA”, KOMEDIA W 3-CH AKTACH G. A. DE CAILLAVET'A I R. DEFLERS'A.

Wśród wznowień mniej i więcej szczęśliwych, którymi teatry stolecne starają się ratować swą sytuację i powstrzymać postępujący proces uwiadu — wznowienie „Papy” należy do posunięć udanych. „Papa” jest bowiem pod każdym niemal względem — czarujący. Przepojony jest prawdziwie francuską kulturą lekkiego dowcipu, pełen niefrasobliwej pogody i optymizmu.

Pod tym względem komedia ta jest niezwykle jednolita. Pogodny uśmiech rozjaśnia ją całą. Czasem jest to pełen zadowolenia z życia uśmiech sytego bourgeois, czasem ten uśmiech ma w sobie odcień lekkiej melancholii, ale zawsze jest lekki, jak pianka mśsującego napoju.

Gdyby sztukę tę pisał ktoś inny — naprzykład... Polak — prawdopodnie niepowodzenie miłosne Jana Bernarda nabrałoby wszelkich cech ponurego dramatu, a beztroski lekkość — Papa — zostałby jakimś „czarnym charakterem”. Całość nazywałaby się nadal komedią, no i — nie nadawałaby się do zapelnienia ogórkowej luki w repertuarze.

Szczęściem tak się nie stało i patrzmy na rozbrzykanego Papę z sympatią, mimo, że jest on daleki od... ideału wzorowego ojca. Papa „kocha młode kobiety, lubi wino stare”, papa nie rozumie co to znaczy „pion moralny”, ale trudno to papie brać za złe, bo papa jest przecie taki czarujący i z takim wdziękiem, zapewnią, że życie jest przyjemne.

Być może, dzieje się tak dlatego, że papę gra Junosza - Stępowski, który potrafi czarować w każdej roli, a ta tak widać, szczególnie mu odpowiada. Wydobyt też z postaci Gastona hr. de Larzac wszystko, co w nią włożyli autorzy, a może nawet więcej. Nie sposób też oprzeć

się czarowi jego gestu i słowa, a jego rozmowy z księdzem Jocas i z Teresą Coursan — to najlepsze sceny w tej sztuce.

Niestety nie z wszystkich wykonawców komedii można powiedzieć, że są równie czarujący. Jerzy Pichelski naprzykład niezupełnie słusznie zrobił z Jana Bernarda pokrętkującego drągaia. Mamy prawo przypuszczać, że ów Jan Bernard, to wcale zgrybny i inteligentny chłopiec. Pichelski jest jednak konsekwentny w swym założeniu, to też gra dobrze.

Obydwum — papie i synowi — można zarzucić, że niektóre sceny, jak np. scena powitania w mieszkaniu papy, nie wypadły zbyt przekonująco, ale to jest raczej wina reżyserii (anonimowej).

W każdym bądź razie perypetie papy ogląda się przyjemnie, bowiem, choć nie budzą one zachwytu — niczem też nie rażą. Utrzymane są w dobrym tonie.

Do miłego wrażenia odnoszonego z całości przyczynia się w niemałym stopniu dobra gra aktorów, z pośród których należy przede wszystkim, poza Stępowskim i Pichelskim, wymienić p. Hannę Parysiewicz. Dała ona mały, lecz dobrze opracowaną rolę Teresy Coursan z wdziękiem i poprawnie, nieco słabiej (poza dobrym... placem) wypadła Janka Anbrin w wykonaniu p. Lidii Wysokiej. Kobięciatka z fraucymeru Papy (Magierówna, Skubniewska i Karłowiczówna) były mniej więcej jednako-

we. Woskowski, Krzewiński, Bogusiński i Deren wywiązali się ze swych ról dobrze.

Dekoracje opracował Stanisław Śliwiński.

Stanisław Grzelecki

Studium katolickie w Warszawie

dla inteligencji i działaczy społecznych

Naczelny Instytut Akcji Katolickiej urządza w Polsce 3 studia katolickie w Warszawie w dniach 5 do 10 września br.

Studium przeznaczone jest dla inteligencji i działaczy społecznych z całej Polski. Dotychczasowe studia katolickie odbywały się w Poznaniu w 1935 r. na temat „Rodzina”, drugie w 1936 r. w Wilnie p. t. „Katolicka myśl wychowawcza”. Obrady tegoroczowego studium odbywać się będą w salach uniwersytetu Józefa Piłsudskiego.

Studium tegoroczne poświęco-

ne jest tematu „Katolicka myśl społeczna” i obejmie całokształt aktualnych zagadnień życia społecznego, dając ich oświetlenie i rozwiązanie w duchu nauki katolickiej. Szczególnie szerokie omówienie znajdą zagadnienia ustroju korporacyjnego i reformy gospodarczej, polityki społecznej w Polsce, problemy wsi polskiej i polskiego stanu średniego. Jako prelegenci wystąpią profesorowie i docenci uniwersytetów oraz wybitni fachowcy i działacze społeczni z całej Polski.

Modlitwa do Hitlera...

W najpoważniejszym miesięczniku francuskim „Revue des deux mondes” ukazał się artykuł Roberta d'Arrocoutra charakteryzujący nową niemiecką religię. Podstawą tej „religii” jest narodowy ascetyzm, kult krwi i mistyka ziem. Religia ta mimo, że jest ze wszystkich istniejących na świecie religij najmłodsza, posiada już własną dogmatykę i mistykę. Niemiecki pisarz Marcin Geronim wy-

drukował w jednym z czasopism modlitwę, którą odmawiają codziennie chłopcy w szkołach kołofskich:

„O wodzu mój, wodzu! Bron mnie w ciągu całego mego życia. Tyś uratował Niemcy! Tobie zawdzięczam mój chleb powszedni! Rządź mną, nie opuszczaj mnie! O wodzu, mój wodzu! Tyś moja wiara i światło! Niech żyje Hitler!”

HEDDA WESTENBERGER

35)

DR. MED.

KARIN FISZER

POWIEŚĆ

— Pani przecież także chce wyjechać i zrobić sobie urlop. Niech pani z nami jedzie. Pani będzie mogła zobaczyć, czy mój mąż dotrzymuje przysięgi i uczy się próżnować?

Karin, sama nie wie dlaczego, przeraziła się naraz, i czuje, że i Aleksander jest przerażony, choć nie chce patrzeć na niego.

— Jechać razem z państwem — odzywa się jakby rozważając propozycję — razem jechać... Mój Boże, byłoby to doprawdy wspaniałe. Wcale dobry pomysł, Tytko...

— Zadne „tylko” — wpada Sybilla z niezwykłą u niej żywością — Niech pani powie: jadę, i koniec. Niech pani sobie wyobrazi jakby to było cudownie! Rano leżymy wszyscy troje wygodnie i używamy razem słońca, po obiedzie pani z moim mężem idzie na spacer. Jeżeli ma kogoś rozsądnego do towarzystwa, to bardzo chętnie chodzi — ja nigdy nie mogę z nim pójść. Ach, dzieci moje, doprawdy myślę, że to by było cudownie tak we trójkę... nawet bym wtedy bachorka w domu zostawiła — w jesieni mogłabym z nim pojechać nad morze, prawda Olek?

Aleksander Ullrich znowu schwycił żonę za rękę, jakby w tym szukał oparcia dla siebie. Potym nagle puścił tę rękę.

a jego oczy powoli jakby z wahaniem zwróciły się w stronę Karin.

— Pani powinna doprawdy z nami jechać... — głos jego wydał się Karin trochę niepewny.

Uśmiecha się, starając się ukryć w tym uśmiechu swoje zmieszanie, i obiecuje tę sprawę gruntownie rozważyć.

Rozmowa potoczyła się w dalszym ciągu na ten temat, omawiano czas i cel wyjazdu dość długo, i Karin mogła opowiadać swoje zakłopotanie i niewyraźne uczucie, a kiedy się ostatecznie zdecydowano na południowy Tyrol, zrodziła się w niej nagle tęsknota by raz jeszcze zobaczyć te miękkie, kwiatami usiane hale i raz jeszcze móc po nich chodzić; zrywać krokusy; fotografować młode drzewa modrzewiowe z ich powiewającymi gałązkami; patrzeć na błyszczące w słońcu śniegiem pokryte szczyty, i samej móc leżeć w tym słońcu godzinami!...

— Właściwie powinnaś się bać tej podróży — odzywa się naraz Sybilla, przyglądając się swoim rękoma. — Ta nowa pomocnica profesora Winklera powiedziała mi, żebym w czasie podróży, którą mam wkrótce odbyć... pomyślcie tylko, ani słóweczka nie wspomniałam o podobnych projektach, żebym dobrze uważała, na wszystko miała oczy otwarte, gdyż grozi mi w drodze niebezpieczeństwo. Ale mój Boże...

Karin schwyciła obiema rękami poręcz krzesła.

— Co pani Paschali powiedziała? Że pani... grozi niebezpieczeństwo? Cóż to za wariatka?... Czy coś więcej jeszcze mówiła?

— Takie różne różności. Że mam skłonność do astmy, że będąc dzieckiem miałam wstrząs mózgu — co zresztą jest prawdą ale pomimo mego delikatnego wyglądu i wrażliwości, mam zupełnie zdrowy organizm, co także profesor znajduje.

— Pani Sybilla — mówi z burzeniem Karin, nie zastanawiając się nawet, jak uchybia powadze Winklera — Pani mąż musi zaraz jutro rano zadzwonić do profesora, i powie-

dzieć mu, że sobie nie życzy, żeby pani Paschali próbowała na jego żonie swych umiejętności. A ja także z nim się rozmówię. Cóż to za niesłychana lekkomyślność! Oddaje się pacjenta w ręce neurologa do leczenia, z trudem się poprawia jego stan, a tu taka partaczka plecie niesłychane głupstwa o jakichś niebezpieczeństwach...

— Ale o tym przecież profesor nie wie. To raczej prywatnie, mimochodem się stało! Poza tym muszę się przyznać, że nie wierzyłam nigdy i nie wierzę w takie wróżby. U nas w domu, na Dolnym Śląsku, zjawiali się często cyganie i wróżyły cyganki z ręki. Tego się przecież poważnie nie bierze. — Karin ze złości jest cała rozczarowana i podniecona.

— Bardzo pięknie — pani nie bierze tego poważnie — ale setki innych osób inaczej mogą to traktować. A z tego oczekiwania na zapowiedziane niebezpieczeństwo, rodzi się niebezpieczeństwo obawy, odpowiednio coraz bardziej nasilone. Można by i o pani powiedzieć, że jest już w pani niejako przygotowanie do przeżycia tego niebezpieczeństwa!

— Być może... — odpowiada Sybilla patrząc na męża. — Ja jednak nigdy nie bałam się niebezpieczeństw dla siebie samej...

Karin, pomimo, że zapomniano wkrótce o tym temacie, wrzła wewnętrznie do tego stopnia, że wcześniej niż zwykle pożegnała się z Sybillą i wyszła. — Aleksander odprowadził ją do autobusu.

Taka cicha, jasna wiosenna noc! Niebo nad Berlinem świeci czerwono prawie luną, ale tu w Grünewaldzie ma taki aksamitny kolor ciemnego szafiru i taki nieskończony spokój spływa z niego na ziemię.

Karin oddycha pełną piersią, wchłania świeżość czystego powietrza — wpatrzona w gwiazdy, jakby chciała odgadnąć ich niezgłębiłą tajemnicę.

(D. c. n.)